

„Podobieństwo Różnic” Maria Walewska Zaproszenie do teatru





Fundacja "hOlendry"

POLSKO-NIDERLANDZKI OŚRODEK INTEGRACJI KULTUR



**Fundacja „hOlendry” powstała w maju 2013 roku w Polsce.
Celem fundacji jest promocja kultury Niderlandzkiej
w Polsce oraz działalność oświatowa, rekreacyjno-zdrowotna,
sportowa i kulturalna w zakresie rozwoju, wspierania i promocji
zdrowego trybu życia.**

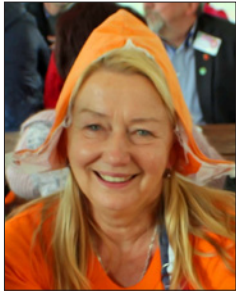


Fundacja "hOlendry"
www.facebook.com/HolendryNowaRoza
www.nowaroza2.wordpress.com
www.poolspodium.org

**Jesteśmy otwarci na współpracę,
prosimy o kontakt mailowy:
nowaroza2@gmail.com
poolspodium@gmail.com**

Fundacja "hOlendry"

**Numer konta BZ WBK: 88 1090 1854 0000 0001 2126 4460
IBAN: PI8810901854000000121264460, SWIFT / BIC code: WBKPPLPP**



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

„Lato, lato wszędzie”... tak zaczyna się refren znanej piosenki. Tego kalendarzowego lata mieliśmy go rzeczywiście w pełni. Jeszcze trwa, jeszcze lazurowe niebo i... jak tutaj pisać.

No, ale cóż. Wracamy z wakacji, to może chętnie sięgniemy po lekturę

ulubionego pisma? Tym bardziej, że jest ono w formie internetowej, a nie ukrywajmy, każdy zagląda od czasu do czasu do internetu.

Mam też nadzieję, że nasi stali Czytelnicy, drukowanej od ponad 20-tu lat wersji kwartalnika „Scena Polska”, zaakceptowali już jego wirtualną wersję. Tradycjoniści i kolekcjonerzy drukowanej „Sceny Polskiej” mogą składać zamówienia, wydrukujemy dla nich mały nakład, zwracając się jednocześnie o pomoc w partycypowaniu w kosztach druku, na który nie mamy środków. Od ubie-

głego roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaprzestało bowiem dotowania drukowanych pism polonijnych na rzecz rozwoju pism internetowych.

Zapraszamy do lektury naszego pisma. Zaglądajcie też Państwo na stronę internetową www.poolspodium.org, gdzie pod zakładką kwartalnik odnajdziecie numery archiwalne i bieżące artykuły.

Miłej lektury!

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

W spektaklu „Sceny niemalże małżeńskie Stefani Grodzieńskiej” wystąpią Grażyna Barszczewska i Grzegorz Damięcki. Widowisko teatralne w reżyserii Grażyny Barszczewskiej nawiązuje do najlepszych tradycji kabaretu literackiego. Oparte zostało na twórczości Stefani Grodzieńskiej i jej męża, Jerzego Jurandota. Każdy monolog, dialog, każda piosenka, to mistrzowski popis aktorski, z którego wyłania się pełnia humoru satyryczno-liryczna opowieść o kobiecie i mężczyźnie.

Organizatorzy proszą o wcześniejszą rezerwację biletów: poolspodium@gmail.com

Scena Polska w Holandii zaprasza w dniu 7 listopada do Teatru Kikker w Utrechcie.



Grażyna Barszczewska, Grzegorz Damięcki, fot. Marcin Wegner

SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 2(82)/2015 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. 31 (0) 30 2718296, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: Grupa uczestników projektu „Podobieństwo różnic” 2015

SCENA POLSKA
NEDERLAND

POOLS PODIUM
www.poolspodium.org

Artystyczne i pełne wrażeń lato w Scenie Polskiej!

Lato i wakacje. Niektórzy korzystają z nich w sposób tradycyjny: leżak, plaża, morze i jezioro, albo działka lub dalekie podróże. A my, zgromadzeni wokół stowarzyszenia Scena Polska w Holandii (Stichting Pools Podium), spędzamy letnie miesiące w siedzisku pod Nowym Tomysłem, dzieląc to miejsce od niedawna z polską Fundacją „hOlendry”. Dzięki pięknej pogodzie i urozmaiconemu programowi, mogliśmy w pełni wykorzystać walory tego sielskiego miejsca dla naszej działalności.

• Czerwiec – Międzynarodowy plener malarsko-fotograficzny

Prawie 20-tu artystów amatorów, malarzy i fotografów, oddawało się w Nowej Róży pracy twórczej. Gospodarzem pleneru był Urząd Miasta i Gminy Nowy Tomyśl. Przez tydzień powstały fantastyczne prace malarskie poświęcone zwłaszcza urokom okolic. Spokojne miejsce w środku lasów, przestrzeń i cisza, tworzyły idealne warunki dla malarzy. Każdy znalazł sobie odpowiednie miejsce na rozłożenie sztalugi: za krzaczkiem, za stodołą, przy hamaku, pod rozłożystą lipą... takie małe, indywidualne atelier. Wieczorami, przy ognisku, był czas na pogawędkę i integrację. W plenerze, poza grupą nowotomyślań i ich przyjaciół z Polski, wzięli udział artyści z Rosji, Ukrainy i Holandii. Prace poplenerowe prezentowane były przez całe lato w letniej galerii Fundacji „hOlendry” w Nowej Róży. W październiku będzie można je podziwiać na wystawie w Nowotomyskim Ośrodku Kultury. A za rok spotykamy się na kolejnym Plenerze!



• **Lipiec – „Las bez barier”**

„Im dalej w las tym więcej nas” – tak zatytułowane było spotkanie, szóste już!, grupy działającej przy Polskim Stowarzyszeniu Stwardnienia Rozsianego Oddziału Wielkopolskiego. W tym roku zaproszono również osoby dotknięte tą chorobą z okolic Nowego Tomysła. Bardzo ciekawie i przy wielkiej uwadze słuchających,

o pokonywaniu tej choroby opowiadała pani doktor Dobrosława Kwiatkowska-Kuśnierek, która od 30-tu lat leczy i pomaga chorym na SM. Potem jak zwykle ognisko, kiełbaski i wspólne delektowanie się większymi wypiekami. Nie zabrakło też doniosłej uroczystości. Szefowa Sceny Polskiej wręczyła Danucie Ławniczak Wiklinową Maskę w dowód uznania i podziękowanie

za wieloletnią współpracę przy organizacji letnich spotkań w Nowej Róży. Scena Polska w Holandii od siedmiu lat współpracuje z Polskim Towarzystwem Stwardnienia Rozsianego – Oddział Wielkopolski, z planami rozszerzenia tych kontaktów na Holandię i również z zamiarem nawiązania współpracy z chorymi w środowisku polonijnym.



• Sierpień – „Podobieństwo różnic” – wymiana młodzieży polsko-holenderskiej

W ramach programu Erasmus Plus, podczas dwutygodniowego pobytu zorganizowanego wspólnie przez Fundację „hOlendry” i Pools Podium, ponad 20 młodych Holendrów i Polaków, poprzez gry i zabawy, dyskusje i kontakty z mieszkańcami, z ołówkiem, aparatem fotograficznym i kamerą w rękę, rozwiązywało problem stereotypów. Było też wspólne gotowanie, poznawanie zwyczajów i tradycji, rekreacja na świeżym powietrzu i zwiedzanie historycznych miejsc. Na zakończenie młodzież zaprezentowała zaproszonym gościom i mieszkańcom efekty swoich poszukiwań.



• Sierpień – III Światowy Festiwal Wikliny i Plecionkarstwa

Pod koniec sierpnia w Nowym Tomysłu, odbył się, już po raz trzeci, Światowy Festiwal Wikliny i Plecionkarstwa w którym uczestniczyli wikliniarze z 61 państw. Oczywiście, nie mogło zabraknąć Holendrów i Belgów, którzy za miejsce swojego pobytu wybrali Nową Różę i gościnę w Fundacji „hOlendry”. Rywalizacja była bardzo silna. I chociaż Grand Prix przypadło w tym roku zawodnikowi z Czech, to wszyscy czuli się zwycięzcami. Organizatorzy przygotowali wszystkim pamiątkowe dyplomy, a Ben i Maria Veris z Belgii wyróżnieni zostali Wiklinowym Pucharem. Para holenderska, Marion i Hans Groenen, otrzymali z rąk Honorowego Konsula Królestwa Niderlandów z Poznania, pana Waldemara Koper, pamiątkowe Dyplomy za popularyzację holenderskiego plecionkarstwa na Festiwalu. Scena Polska w Holandii podziwiała performance zaprzyjaźnionego z nami artysty Jędrzeja Stępaka. Fragment tego spektaklu mogliśmy zobaczyć w Hadze w 2012 roku na Gali Jubileuszu 20-lecia Pools Podium. W plenerowej wersji, z udziałem artystów amatorów ze wsi Cicha Góra, gdzie artysta ma pracownię, występ wśród wiklinowych rzeźb i z muzyką na żywo podbił serca festiwalowej publiczności. Miłośników sztuki plecionkarstwa zapraszamy za rok na warsztaty artystyczne do Nowej Róży. Mamy nadzieję, że narodzą się nowe holenderskie talenty, które za dwa lata wezmą udział w kolejnym Światowym Festiwalu, organizowanym z niestrudzoną zapałem przez Andrzeja Pawlaka, pomysłodawcę wydarzenia.

ZSCZ



„Podobieństwo Różnic” 2015

Pomysł – współpraca – realizacja

Sierpień w Nowej Róży upłynął pod znakiem międzynarodowej wymiany młodzieży. W ramach projektu „Podobieństwo Różnic”, współfinansowanego przez Erasmus+, organizatorzy – Fundacja hOlendry (Polska) i Stichting Pools Podium (Holandia) – przygotowali dwutygodniowe spotkanie, którego głównym celem była integracja młodzieży z różnych obszarów kulturowych, w tym przypadku Polski i Holandii. Jednym z głównych celów projektu była próba przełamania stereotypów.

Zgodnie z założeniem projektu młodzież z Polski i Holandii pracowała nad multimedialną i interaktywną prezentacją własnych krajów i przedstawienia ich w wielu aspektach (sztuka, tradycja, kultura, kulinaria, rekreacja).



ziemców Nowy Tomyśl, którym zainteresował ich sam burmistrz – Włodzimierz Hibner. Młodzież odwiedzili także leśniczówkę w Róży oraz wiejską świetlicę, w której pod okiem gospodyń z Koła Gospodyń Wiejskich uczyli się m.in. lepić pierogi.

Czas wolny wypełniony był zabawami i zadaniami, które przygotowali wolontariusze. To oni czuli się odpowiedzialni za integrację i animację grupy. Choć większość z ich pomysłów na początku wydawała się niemożliwa, dzięki współpracy i wzajemnym zaufaniu grupy zawsze jednak, choć trudna, okazywała się wykonalna.

Projekt pt. „Podobieństwo Różnic” zaowocował prawdziwą wymianą kultur, wzajemnym poznaniem się młodych ludzi, a zawarte przyjaźnie dowodzą, że dzięki otwartości, wspólnej pracy, wymianie pomysłów i cierpliwości osiągnąć można wiele. Na zakończenie warsztatów młodzież zorganizowała Galę, podczas której odegrano dowcipne scenki przedstawiające walkę ze stereotypami oraz zaprezentowano nagrane filmy. Publiczność, licznie przybyli sąsiedzi i przyjaciele oraz mieszkańcy okolicznych wsi z wielkim uznaniem ocenili przedstawiony przez młodzież program. Większość pytała: „A co będziecie przygotowywać za rok? Zaprosicie nas?”



EWA ZIMMER-MATWIEJCZYK

Wzorem lat ubiegłych, dużą część projektu, stanowiły warsztaty filmowe prowadzone przez Dominika Matwiejczyka. Część grupy zaznajamiała się z pracą scenarzysty, reżysera i operatora kamery. Uczestnicy warsztatu wspólnie stworzyli krótki film, ukazujący, z przymrużeniem oka, wzajemne postrzeganie się Polaków i Holendrów.

Druga część uczestników brała udział w zajęciach aktorskich, podczas których pracowano nad tekstem scenariusza i poznawano techniki aktorskie. Efektem tego warsztatu było przygotowanie profesjonalnych scen filmowych.

Istotnym elementem wymiany było poznawanie regionu. Podczas wycieczki do Poznania uczestnicy odwiedzili najpiękniejsze miejsca stolicy wielkopolskiej oraz odkrywali jej kulinarne tradycje. Największą atrakcją okazał się dla cudzo-



„Las bez barier” – Nowa Róża 2015



WOJCIECH ZIELIŃSKI

Doskonale wiemy jak trudno jest poruszać się wózkem inwalidzkim lub o kulach po ulicach miasta a co dopiero w lesie, gdzie niemal wszystko jest przeszkodą. A jednak, 18 lipca 2015 r. Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego Oddział Wielkopolska wspólnie z fundacją „hOlendry”, już po raz 6. właśnie w lesie zorganizowały plenerowe spotkanie integracyjne osób niepełnosprawnych z SM, w tym roku pod wymownym hasłem „Im dalej w las – tym więcej nas”. Spotkanie odbywało się w siedzibie



Fundacji „hOlendry” w Nowej Róży koło Nowego Tomyśla. Wszystkich uczestników spotkania serdecznie przywitała Zofia Schroten-Czerniejewicz, Redaktor Naczelna kwartalnika Scena Polska w Holandii oraz Natalia Schroten, Prezes Fundacji „hOlendry”.

Przy kawie i herbacie oraz słodkich wypiekach wysłuchaliśmy dr Dobrosławę Kwiatkowskiej-Kuśnierek, neurolog ze szpitala w Nowym Tomyślu, która od ponad 30 lat pracuje z chorymi na stwardnienie rozsiane. Pani doktor w przystępny sposób przybliżyła zagadnienia związane z leczeniem chorych na tą chorobę. Wiele zagadnień było



Spotkanie z dr Dobrosławą Kwiatkowską-Kuśnierek w Nowej Róży

fol. Natalia Schroten

interesujących, nawet dla osób, którym wydawało się, że po wielu latach zmagania z SM-em wiedzą o niej już wszystko. Słuchacze mieli do Pani doktor niezliczoną ilość pytań.

Następnym punktem programu, dla chętnych, były warsztaty malarskie „Noworóżańskie pejzaże”. Niewiele osób spróbowało swoich sił w władaniu pędzlem, lecz kibiców wpatrujących się w powstające dzieła było znacznie więcej. Artysta malarz, Holender – Marcel van de Kraats, podpowiadał jak dobrać odpowiedni kolor a nawet, jakie ruchy wykonać pędzlem, aby na płótnie powstał odpowiedni efekt.

Na obiad gospodynie spotkania przygotowały posiłek holendersko – polski. Czyli holenderska pikantna i pożywna zupa marchewkowa koloru pomarańczowego. A na drugie danie jedna z najbardziej znanych poznańskich potraw, czyli pyry z gzikiem. Ziemniaki tradycyjnie gotowane w mundurkach, czyli bez obierania, przez co nie tracą witamin. W XIX wieku był to powszechny posiłek a dzisiaj rarytas kulinarny i sposób na zachowanie rodziwej wielkopolskiej tradycji. Zdecydowana większość uczestników spotkania była o mniejszej sprawności ruchowej i podczas



Noworóżańskie pejzaże – warsztaty malarskie z artystą Marcellem van de Kraats

fol. Natalia Schroten

obiadu było widać prawdziwą integrację. Nikt nie musiał prosić o przyniesienie posiłku do stolika, wszystko odbywało się spontanicznie i od stołu nikt nie odszedł głodny. Po obiedzie Pani Marzena Kortus z Urzędu Miasta i Gminy Nowy Tomyśl w imieniu burmistrza, podarowała wszystkim okolicznościowe kubeczki. Bardzo miła i sympatyczna pamiętka, która będzie przypominała spotkanie.

Następnie w cieniu okazałej i rozłożystej lipy, z pewnością posadzonej w XIX wieku przez osadników olenderskich, spędzaliśmy czas na miłych pogawędkach z naszymi dobrymi znajomymi z tych okolic. Artystka ludowa, Pani Maria Bilska z Koła Gospodyń Wiejskich, wspominała nasze wspólne spotkania, podczas których uczyła nas wykonywać atrakcyjne dekoracje z wszystkiego, co rośnie w lesie i na łące. Dołączył do nas Pan Maciej Kolańczyk, znajomy mieszkaniec lasu i miłośnik przyrody, który o zwierzętach i ich zwyczajach może opowiadać w nieskończoność.

Cały czas zaprzyjaźniony paparazzi, Jacek Grześkowiak, tworzył uczestnikom fotograficzne „Noworóżańskie portrety”. Oczywiście takie okoliczności są też okazją do rodzinnego wspólnego zdjęcia: „Rodzina SM-mowców w lesie bez barier – 6”.

Następnie spotkanie integracyjne przerosło się w radosną biesiadę z udziałem oficjalnych gości, wokół ogniska z tradycyjnym pieczeniem kiełbasek, prezentacjami malarzkimi i muzycznymi w tle.

Jest teraz okazja do wręczenia nagród i podziękowań. PTSR O.Wlkp. rozdał zasłużonym piękne okolicznościowe dyplomy. Edward Wojciechowski za swoje dzieło malarzkie otrzymał od Gospodyni upominek przywieziony prosto z Holandii. A Danuta Ławniczak za zasługi dla Sceny Polskiej i wielki wkład w działalność na rzecz upowszechnienia kultury i integrację osób chorych na stwardnienie rozsiane otrzymała Wiklinową Maskę. Tym samym nasza koleżanka Danuta dołączyła do nielicznego a zarazem elitarnego grona posiadaczy takiego wyróżnienia. Wiklinowa Maską jest dziełem profesora Jędrzeja Stępa. Artysta specjalizuje się w nadawaniu wiklinie artystycznego wyrazu.

Niemal wszystkie nasze poczynania w Nowej Róży uwieczniła kamera Telewizji Kablowej Nowy Tomyśl a Pani Redaktor Elżbieta Keffler przeprowadziła szereg interesujących rozmów.

Sprzyjająca pogoda i leśna sceneria malowniczo położonej osady w Nowej Róży sprzyjała wypoczynkowi. Spotkanie integracyjne upłynęło w miłej i rodzinnej atmosferze. Są plany na rok następny.

WOJCIECH ZIELIŃSKI
– UCZESTNIK SPOTKANIA

Aż kilka kroków

ANNA KOPRAS-FIJOŁEK

Młody mężczyzna chwije się, z trudem przesuwa nogi... Ręce kurczowo trzymają się siatki ogrodzeniowej. Zostało mu do pokonania kilka kroków. Aż kilka kroków. – Od rana napity! – drwią przechodnie.

– Kiedy pani doktor oznajmiła, że mam stwardnienie rozsiane i chciałem się dowiedzieć czegoś więcej – jak się leczyć, jak rehabilitować, jak żyć – powiedziała: – Niech pani wpisze sobie w wyszukiwarce: SM. Tam jest wszystko. Tak się wychodzi ze szpitala. Z wiadomością, że człowiek jest nieuleczalnie chory i trzeba sobie jakoś radzić – opowiada Andrzej Drązek, prezes jarocińskiego oddziału stowarzyszenia Sclerosis Multiplex.

Agnieszka Pajor jest mamą 7-letniego Huberta i 4-letniego Kacpra. – U mnie zaczęło się niewinnie. Ja „czułam”, że jestem chora na stwardnienie rozsiane, a lekarz temu nie dowierzał, więc sobie tłumaczyłam,

Ma problemy z chodzeniem i mówieniem. – Gubię słowa. Sama się na tym łapię. To, co chciałybym powiedzieć, nie zawsze udaje mi się wypowiedzieć. Nie radzę sobie z tym i to mnie kępuje. Mam też problem z piśmem. Coraz ciężiej mi to idzie – wyznaje.

Uczy swoje dzieci samodzielności. – Pomagają mi w tym, co potrafią już zrobić. Chłopcy są bardzo odważni, twardzi – podkreśla. – Na razie ręce mam sprawne. Boję się, jak będzie w przyszłości. Czy choroba nie dotknie takich partii mózgu, że stracę mowę, pamięć... Wie, że na tę chorobę się nie umiera – choćby się było nie wiadomo jak bezwładnym. Tylko na powikłania. – Ale do końca trzeba walczyć. Zawsze mówię, że ta choroba nie ma ze mną łatwo. Bo ja się nigdy nie poddam. Nigdy! – zapewnia. – Nawet jak mi się nie chce, wiem, że muszę wstać i iść. Mam wspaniałe dzieci i wspaniałego męża, który jest dla mnie największym wsparciem.

Stwardnienie rozsiane (sclerosis multiplex) to przewlekła degeneracyjna choroba mózgu i rdzenia kręgowego. Najczęstsza



ze to pewnie nie to. Rok czasu chodziłam z tą chorobą, nie wiedząc o tym – opowiada 31-letnia kobieta. Trzy lata temu rezonans magnetyczny wykazał, że jest chora na SM i potwierdził jej wcześniejsze obawy. – Ciągnę nogi. Odmawiają mi posłuszeństwa. Mam duże problemy z utrzymaniem moczu. Teraz jestem na lekach, na zastrzykach. Już ostatni rok. Potem będzie wielka niewiedoma, bo nie będę miała już tych leków refundowanych – starsze osoby się nie kwalifikują – a nie stać mnie na nie – mówi zmartwiona kobieta.

choroba neurologiczna powodująca trwałe inwalidztwo u młodych ludzi (wiek zachorowania: 15-45 lat). – Częstotliwość jej występowania wzrasta – podkreśla Andrzej Drązek.

Lidia miała od 1990 roku silne zawroty głowy. Ojciec wychodził po nią, kiedy wracała z pracy, bo co rusz się przewracała. Była poobijana, poodzierana. Nikt nie potrafił zdiagnozować tej choroby. Leczone ją na błędnie. – Mrowiały, drętwiały mi nogi. Ciężko mi się szło, potem przestałam widzieć na jedno oko – wspomina.

Straciła czucie w nogach. – Nie czuję ich. Jakbym miała sztuczne. Kiedyś szłyśmy z córką, miałam założone nowe buty – opowiada. – W pewnym momencie córka powiedziała: – Mamo, leci ci ciurkiem krew z pięty. Tak miałam obtartą. Ale nic nie czułam.

Dowiedziała się, co jej jest przed córki osiemnastką – siedziała, a łyżki same kulały się po policzkach. Pierwszy silny rzut miała przed jej ślubem. Posprzątała, ugotowała obiad, upiekła placek, usiadła... i już nie wstała. Bliscy zafundowali jej rower treningowy. – Nie policzę, ile już kilometrów zrobiłam. Ile razy byłam w Poznaniu. Po 30 km dziennie. To mnie postawiło na nogi – mówi... – Teraz od września do wczoraj strasznie się jednak pogorszyło.

Codziennie wychodzi na miasto. Codziennie przynajmniej dwa razy pokonuje ponad 80 schodów, wchodząc na czwarte piętro w bloku, w którym mieszka. – Znajomemu na rehabilitacji kazali chodzić właśnie po schodach. Powiedział mi: – pamiętaj, że te schody to jest dla ciebie zbawienie. Mnie się gorzej schodzi – przyznaje. – Już kilka razy spadłam.

* * *

– U chorych na SM dochodzi do uszkodzenia osłonek – mieliny wokół nerwów w centralnym układzie nerwowym – tłumaczy Andrzej Drajżek. Uszkodzenie mieliny zwalnia, zniekształca lub nawet hamuje przekazy informacji z mózgu do innych części ciała, które przez to przestają prawidłowo funkcjonować.

* * *

– U mnie, w Cielczy, nie mam z tych problemów. Ludzie wiedzą. Gorzej w Jarocinie – przyznaje Agnieszka Pajor. – Niektórzy komentują: – Upiła się... Pijana od rana...

Lidia szła z córką przez rynek. – Trzymałam ją za rękę, pod łokciem. Rzuciło mnie – wspomina kobieta. – Potoczyłam się i pociągnęłam ją za sobą. Szło jakieś starsze małżeństwo. Skomentowało: – Ale nachlane idą od rana.

Kiedy indziej szła do lekarza, ulicą Poznańską. Rzuciło ją pod płotem. – Uklękałam. Jakaś kobieta zaczęła się w głos śmiać. Dopiero młody mężczyzna podbiegł, zapytał, co się stało i odprowadził mnie do lekarza – wspomina... Niedawno ze znajomym z SM staliśmy przy kasach w „Biedronce”. Krzysztof przebierał nogami, bo nie może ustać. I mówę ma porażoną. Ludzie nas okręgiem omijali. Powiedziałam, żeby się nie przejmował, że mnie też tak traktują.

Podobnych sytuacji mogłaby przytaczać wiele. – Młody chłopak szedł z żoną. Prowadziła go za rękę. Drugą ręką trzymał się wózka. Szedł fatalnie. Przechodzili przez ulicę. Jakaś kobieta zawołała: – Takiemu pijakowi da wózek! Nie wytrzymałam. Nie przebie-

rałam w słowach – opowiada... – Pytałam lekarza, co zrobić? Ludzie są tak okrutni. Powiedział: Co pani zrobi? Napisze pani sobie na plecach, że ma pani SM? I tak nie będą wiedzieli, co to jest.

* * *

Ci, którzy chorują na SM, nieraz nie przyznają się do tego. – Boją się, że jak pracodawca się dowie, pomyśli, iż ten pracownik jest mniej wydajny, może jest mniej sprawny umysłowo, co jest totalną bzdurą – mówi Andrzej Drajżek, prezes jarocińskiego Stowarzyszenia Sclerosis Multiplex. – Są w Jarocinie osoby, które chorują na SM i o tym prawie nikt nie wie. Jak mają „rzut”, biorą urlop. Niektórzy, tak jak ja, z postacią rzutową, są postrzegane jako osoby zupełnie zdrowe. Po rzucie wracam do pracy. Nikt mnie nie widzi, ciężko chodzącego, nie mogącego ruszyć ręką.

Dowiedział się, że jest chory cztery lata temu. – Podejrzanie miałem raczej o choroby kręgosłupa, że to jakiś dysk, który uciska na nerwy, może korzonki – opowiada.

* * *

Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, co to za choroba. – Każdy ma inne objawy – zaburzenia równowagi, osłabiony wzrok, nietrzymanie moczu czy kału – dodaje inna osoba chora na SM.

Jak sobie radzą na co dzień? – Nie mam siły w rękach. Złapię coś, chcę coś przenieść, wypada... – mówi Bożena Wawrzyniak. – Problemem jest wejście po schodach. Sąsiad mówi: – Jak schudniesz, to wejdiesz. Jest mi wtedy przykro.

Pracowała jako główna księgowa w banku. – Miałam klientów, którzy byli moimi bliskimi znajomymi. Kiedy zachorowałam, okazało się, że jestem niepotrzebna... – wyznaje kobieta. – Jak człowiek zachoruje, traci się wszystko. Znajomych... – potwierdza Wiesław.

Nieraz zrozumienia brakuje nawet wśród bliskiej rodziny. – mówią chorzy na SM. – Nie rozumieją, że jak przychodzi rzut, nie można czegoś zrobić, podolać wszystkiemu. Albo robi się wszystko o wiele wolniej. Dopada nagłe zmęczenie i trzeba się położyć. Dla nas liczy się dobre słowo. Nic więcej nie potrzeba. Chcemy, żeby normalnie z nami rozmawiać, podtrzymać nas psychicznie.

* * *

SM to choroba autoimmunologiczna – układ immunologiczny (odpornościowy) organizmu atakuje swoją własną tkankę w błędnym przekonaniu, iż jest to obce ciało.

* * *

– Rzuca człowiekiem na lewo i prawo i nie da się nad tym zapanować – mówi Sabina Janowska. Ma postać rzutową SM. Po każdym

rzucie „coś” zostaje – to oko gorzej widzi, prawa strona jest słabsza, powłóczy się nogą. Ona zachorowała w wieku 24 lat. To był dla niej szok. Za rok miała brać ślub. – Długo nie mogłam się otrząsnąć. Wszystko robiłam, żeby zniechęcić przyszłego męża. Nie chciałam nikomu wiązać życia. Mój mąż okazał się jednak najbardziej chyba na świecie upartą osobą. Jesteśmy szczęśliwą rodziną i wiem, że rodzina jest najważniejsza – podkreśla.

Zanim miała postawioną diagnozę, strasznie drgało jej oko, bolało za uchem, miała silne bóle głowy. Miała wtedy 20-21 lat. Objawy zaczęły się nasilać. Wkrótce zaczęła mdleć, miała zaniki wzroku. – Kiedy się dowiedziałam, że to SM, miałam kompletnego doła. Obwiniałam wszystkich. A tak nie można. To nie jest wina ani czyjaś, ani moja. Dziś mówię, że to jest prezent. A prezentu się nie wyrzuca, tylko się z nim żyje – wyznaje.

Były lata, kiedy wiele miesięcy spędzała w szpitalu. – Bartek miał wtedy trzy lata – siedział w przedszkolu, jadł śniadanie, a z oczu ciekły mu łzy. Przedszkolanki zaniemówiły, usiadły przy nim i płakały razem z nim. Wiedziały, co on musi czuć, ale nie pisały ani słowa – opowiada wzruszona kobieta.

* * *

Syn był jej siłą. – Jak leżałam, przychodził i mówił: – mamusiu, ja Cię strasznie kocham... Jako trzy-, cztero-latek podchodził do mnie i mówił: – Mamuś, to ja Ci herbatkę zrobię. Ja leżałam w łóżku, a on leciał z taboretą do kuchni, brał zapalnik i wstawiał wodę na herbatę. Co ja wtedy czułam!... – wspomina Sabina Janowska. – Zbierałam wszystkie siły, zakręcałam sobie sama kroplówkę, schodziłam z łóżka, po czworakach szłam do kuchni, żeby chociaż usiąść, oprzeć się przy tej gazówce i zobaczyć, co on robi.

Przyznaje, że jak chyba każdy chory na SM ma „dołki”. – Ale wtedy staram się wszystko odkręcać. Myślę sobie – to dziecko, mój mąż tyle przeszli, stawali na wysokości zadania, oko w oko z chorobą, to jak ja mam się poddać? Kilka dni temu Bartek zapytał mnie, czy ja przez niego nie chorowałam. Przez to, że go urodziłam. Odpowiedziałam: – Nie, dziecko, ja ciebie bardzo pragnęłam i ty byłeś moim lekarstwem i do dzisiaj jesteś.

Sabina Janowska przyznaje, że wciąż szuka sobie zajęcia. – Ja nie uleżę, nie usiedzę. Boję się, że jak za długo będę siedzieć lub się wylegiwać, to się „zastoję” – mówi. – Choroba uczy miłości, wiary i pokory. Jest straszna, ale trzeba całkiem odwrócić myśli – jeżeli jest gorzej, będzie lepiej – przekonuje Sabina Janowska.

ANNA KOPRAS-FIJOŁEK

[HTTP://WWW.JAROCINSKA.PL/](http://www.jarocinska.pl/)
ARTYKULY/AZ-KILKA-KROKOW

Maria Walewska – belgijski epizod...



ANNA FRANÇOIS-KOS

7 września 1816 r., w katedrze Saints-Michel-et-Gudule w Brukseli, miał miejsce niezwykle ślub. 30-letnia Maria z Łączyńskich Walewska wychodziła za mąż za 32-letniego marszałka i para Francji, dalekiego kuzyna Napoleona, hrabiego Filipa Antoniego d'Ornano. Maria miała zezwolenie księdza z swojej parafii Notre-Dame de la Lorette, a ślubu udzielił Archiprezbiter Mille. Świadkami byli notariusz Dipré i jego pomocnik. Państwo młodzi zamieszkali w Liège.

Maria, 30-letnia wdowa miała już za sobą małżeństwo z prawie 50 lat od niej starszym Anastazym Walewskim z Walewic. Zaledwie w 6 miesięcy od ślubu w czerwcu 1805 r. urodziła syna, który nazwany został Antoni Bazyli Rudolf Walewski. Dziecko było owocem miłości do rosyjskiego generała Arkadiego Suworowa. Ojciec Marii zginął w powstaniu kościuszkowskim, więc mowy nie było, aby zajmujący się wychowaniem siostry brat, Benedykt zgodził się na ślub z Rosjaninem. Za 100 florenów, które Walewski potrzebował na spłacenie karcianych długów, dziecko miało zapewnione herbowe nazwisko. Nigdy nie poznało swojego biologicznego ojca.

Drugi syn, Aleksander urodzony w marcu 1811 r. też otrzymał nazwisko Walewski, ale jego biologiczny ojciec był znacznie bardziej sławny. Nie tylko przyznał się do ojcostwa, ale jeszcze zapewnił Marii i synowi bezpieczeństwo finansowe. Już w 1812 r. Aleksander otrzymał na mocy napoleońskiego dekretu hrabiowski tytuł i liczne posiadłości ziemskie. Oczywiście był to syn Napoleona! Romantyczna historia związku Marii z Bonaparte doczekała się licznych opracowań, nie tylko historycznych, bo kilka powieści i filmów. Romans z cesarzem rozpoczął się w styczniu 1807 r. Napoleon ją uwielbiał, ściągając do Paryża. Dzięki niej przekonał się, iż to nie on jest winny temu, że Józefina nie może mu dać oczekiwanego następcy. Zakochana w Napoleonie Maria będzie chyba najwierniejszą mu kobietą. Sam Napole-

on pisze: „Twoje uczucia mnie wzruszają. Godne są Twej pięknej duszy i dobrego serca. Miej się dobrze, nie martw się, myśl o mnie z upodobaniem i nie wątp we mnie nigdy”. To ona właśnie jako jedyna z kobiet jego życia była, kiedy próbował popełnić samobójstwo, to ona odwiedzi go na wyspie Elbie. Ostatecznie jednak przekonała się wówczas, że nie ma co marzyć o jakiegokolwiek przyszłości ze słynnym kochankiem.

Najprawdopodobniej wówczas podejmuje decyzję o związaniu swej przyszłości z hrabią Filipem Antonim Augustem Ornano. Walewska wzięła już rozwód ze starym Anastazym, zresztą ten 2 lata później umarł.

Ornano rozpoczął swą wojskową karierę już w wieku 17 lat. Marię Walewską poznał już w 1807 roku w Warszawie. Wiadomo, że był nią zafascynowany a od około 1814 r. żywił do niej głębsze uczucia. W Paryżu towarzyszył jej w wyjściach do teatru, na przyjęcia. Można stwierdzić, że powoli bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili. Pisał do niej wówczas: „Odczuwam głęboką wdzięczność nie tylko za to, że zechciałaś mnie Pani przyjąć z tak czarującą uprzejmością i że poświęciłaś mi swój czas; jestem również zobowiązany za to, że inspirujesz mnie, Pani. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam wyrazić dostatecznie, jak słodkie i niezapomniane były te godziny, a więcej zapewne nie wolno mi prosić... Będę czekał.” I doczekał się. Przebywał we Florencji, kiedy Maria zawiadomiła go pisemnie, że zmarł Pan Walewski. Odpowiedział jej wyznaniem miłosnym i prośbą o jej rękę. Był rok 1815. Maria nie odpowiedziała negatywnie. Obowiązywała ją żaloba, nie była jeszcze gotowa do nowego związku, chciała być niezależna. Miała zresztą za złe Filipowi, że po upadku Napoleona przeszedł na stronę Burbonów. On tłumaczył się mówiąc: „Jako żołnierz służę Francji, a nie poszczególnemu władcy”. W czasie 100 dni Napoleona wrócił zresztą do cesarza, ale ranny w pojedynku nie miał możliwości walczyć pod Waterloo. Walewska zajęła się rannym, ale trudno jej było zrozumieć, że nie był u boku Napoleona w tak ważnym momencie. Banicją Ornano sprawi jednak, że zajęła się nim znowu, tym razem starając się poprzez swoich dawnych francuskich znajomych o przywrócenie go do łask. Kolejną prośbę o rękę przyjął. Ślub był nieco opóźniony, najpierw z powodu choroby Antoiné'a, pierwszego syna



Walewskiej, potem śmierci Lodovico Antonio d'Ornano, ojca Pana Młodego. Maria czekała na narzeczonego w Spa, w hotelu Soubise. Ślub miał miejsce w największej brukselskiej katedrze. Państwo młodzi nie otrzymali pozwolenia na zamieszkanie w Brukseli, więc dzień po ślubie opuścili hotel Wellington i pojechali do Liège, gdzie hrabia d'Ornano wynajął wygodny, aczkolwiek nieduży dom w dzielnicy Fragnée. Posiadłość była znacznie mniejsza niż pałac w Walewicach i mniej prestiżowa niż domy, które wynajmował dla niej w Paryżu Napoleon. Maria Walewska jednak bardzo go polubiła, przypomniał jej trochę letnią rezydencję bratowej, siostry Walewskiego, księżnej Teodory Jabłonowskiej, w Mons-sur-Orge. Dom miał jednak mimo wszystko 17 okien wychodzących na piękny ogród i park. Państwu młodym towarzyszyło 7 osób służby, w tym polski szef i francuska kucharka. Mały Aleksander, syn Napoleona powierzony został opiece pokojówki z Liège. W wielu dokumentach, włącznie z książką napisaną przez Rudolfa, trzeciego, urodzonego w Liège syna Marii, pojawia się informacja, że dom ten znajdował się na ulicy Mandeville. Ostatnie jednak poszukiwania prostują tę informację. Państwo Ornano mieszkali najpierw na ulicy Soeur de Hasque pod numerem 170/171 w domu, który dziś nie istnieje. Potem przenieśli się na ulicę Vieux Mayeur i mieszkali pod numerem 876. Juliette Noël z Liège znalazła

w archiwach państwowych akt wynajmu podpisany przez hrabiego d'Ornano u notariusza Parmentier 19 marca 1817. Właścicielem domu był niejaki Nicolas Bernimolin mieszkający przy ulicy Jonckeu.

Belgia nie jest dla Marii nowością. Kilkakrotnie była już na kuracji w Spa. Znała jeszcze z Warszawy arcybiskupa Mgr de Paridt z Mechelen. Na zesłaniu w Belgii znaleźli się liczni przyjaciele hrabiego. Ornanowie zaprzyjaźnili się z notariuszem Filipem Parmentier, z doktorem Ansiaux, z rodzinami Robiano, Hooghvorst, hrabią Merode-Westerloo. W Liège zmarł przyjaciel broni hrabiego, generał Loison. Bywali na przyjęciach, przyjmowali u siebie, odbywali liczne przejażdżki. Wkrótce potem Maria zaszła w ciążę. Znosiła ją z trudem, bo już od dawna cierpia-

przypominać Marii największą miłość jej życia, Napoleona. Zatrzymywał się tu dwukrotnie, w 1803 i w 1811 roku. Po drugiej stronie rzeki znajdowała się nowa dzielnica powstała dzięki Napoleonowi, nazywana wówczas „Faubourg Bonaparte”. Często spędzała czas w pokoju na piętrze, z balkonu którego miała piękny widok na rzekę. 6-letni Aleksander coraz bardziej przypominał ojca. Wiedziała, że jest z nią źle: „Nie chcę przed Tobą (mężem) kryć, że jestem nieco słaba. Chwilami mam przecucie, że przytrafi mi się coś, czego się boję. Powiadam sobie, że zapewne Ty będziesz się z tego śmiał, i próbuję walczyć z tym nierozsądnym strachem, głęboko we mnie zakorzenionym, że zdarzy mi się nieszczęście, wobec którego będę bezsilna”.

Rudolf przyszedł na świat w Liège 9 czer-

tak wielu innych, że tym, co spowodowało mój upadek, był fakt, że Opatrzność Boża posłużyła się mną jako narzędziem niezbędnym do odnowy naszej ukochanej ojczyzny. Mogłabym wówczas odzyskać spokój duszy, który utraciłam tak dawno. Mogłabym może znieść z większą rezygnacją los tak mało zgodny z moim sumieniem. Ach, gdybyście wiedzieli, jakie pułapki na mnie czyhały, jak mnie kuszono, jakimi karmiono nadziejami...”. Na leżać przyjmowała jeszcze 7 grudnia gości na swe 31 urodziny. W 4 dni później, 11 grudnia 1917 r. zmarła. Jak Znacznie później dorosły już Aleksander napisze: „cały dom pogrążył się w rozpacz, lecz boleść generała d'Ornano przechodziła wszelkie wyobrażenia. Moja matka bowiem była jedną z najlepszych kobiet, jakie istniały



ła na kamicę nerkową. Poprzednimi ciążami Walewskiej zajmował się znany w Polsce doktor Czekierski. Postanowiła pojechać do Polski do niego na konsultacje i zobaczyć przy okazji miłe jej sercu miejsca w ojczyźnie. Filip nie otrzymał pozwolenia na wyjazd, więc wyjechała sama, tylko ze starszym synem, ze swoim sekretarzem i pokojówką. Do Walewic dotarła 25 stycznia. Nie czuła się najlepiej. Doktor Czekierski był wyjątkowo zaniepokojony i zalecił jej daleko idące środki ostrożności. W tym czasie małym Aleksandrem zajął się niezwykle czule mąż. Chcąc urozmaicić chłopcu oczekiwanie na ukochaną mamusię (tak nazywają ją synowie) zabrał chłopca do pobliskiego Chaudfontaine. Tymczasem powoli zaczęli wracać do Francji ułaskawieni, niektórzy z przyjaciół zsyłki Hrabiego. Maria wróciła wczesną wiosną i z dnia na dzień coraz gorzej się czuła. Swojemu sekretarzowi dyktowała pamiętniki, tak jakby przeczuwała, że nie zostało jej już wiele czasu. Życie toczyło się dość monotonię. Spaceruje, przejażdżki karoce. Miasto nad Mozą musiało

ca 1917 roku. Poród był bardzo ciężki. Mimo zaleceń dr Czekierskiego Maria zdecydowała się sama karmić dziecko. Zaprzyjaźniony dr Anciaux zmusił ją w końcu do zatrudnienia mamki. Była tak wyczerpana, że już nawet nie protestowała. Wezwano na konsultację lekarza imperatora, dr Corvisart. Padła w końcu diagnoza: Maria nie zobaczy już nowego roku! Pragnęła umrzeć w rodzinnych stronach, ale miała świadomość, że tak długiej podróży jej organizm nie znieśnie. A że bliska jej serca była też druga ojczyzna, poprosiła aby ją zawieźć do Paryża. Filip już uzyskał zgodę na powrót do Francji, więc zdecydowano, że cała rodzina opuści Liège w ostatnich dniach listopada. Podróż odbywała się etapami, ze względu na bardzo zły stan zdrowia Walewskiej. 30 listopada Ornano zgłosił swoją obecność i dyspozycyjność u ministra wojny. Tymczasem Maria nadal dyktuje sekretarzowi Carité, już na leżać swoje pamiętniki, które pisze właściwie dla chłopców i męża. „Ach, jaką odczuwałbym ulgę, gdybyście powiedzieli mi to, co mówię

kiedykolwiek na świecie. Mówię to obiektywnie, więzy krwi bowiem nigdy nie wpływały na mój osąd...”

Napoleon dowiedział się od życzliwych o jej ślubie i ponoć był tą wiadomością wzruszony, ale o jej śmierci nikt go nie zawiadomił. Filip-Antoni Ornano został wdowcem w wieku 33 lat i nigdy już się nie ożenił. Całkowicie poświęcił się wychowaniu trzech synów Marii. Zmarł w 1863 roku.

ANNA FRANÇOIS-KOS

Zdjęcia katedry w Brukseli: https://www.google.com/search?q=Saints-Michel-et-Gudule&es_sm=122&tbn=isch&tbo=u&source=univ&sa=X&ved=0CB0QsARqFQoTCNLImpKUsscCFUc7FAoduKkMLA&biw=1680&bih=949

Zdjęcia związane z Walewską: <https://www.google.com/search?q=maria+walewska&espv=2&biw=1680&bih=949&tbn=isch&tbo=u&source=univ&sa=X&ved=0CIwBEIkeahUKEwiE3urqlrLHAhWJbhQKHWRMAG0&dpr=1>

Zdjęcia F.A. d'Ornano: https://en.wikipedia.org/wiki/Philippe_Antoine_d%27Ornano



JULIUSZ BURGIN

Ci, którzy wrócili cało z wojny, nierzadko przywlekli ze sobą jakąś zdobycz. To zegarek zdjęty z zabitego Niemca, to całkiem jeszcze dobre buty... Mój wujek przywiózł ze swoich wojennych peregrinacji piękne auto – Mercedes K 540 kabriolet. Znalazł go porzuconego w stodole, w opustoszałym, zburzonym miasteczku, gdzie w czasie działań wojennych mieściła się kwatera główna niemieckiego generała. Mercedes był brudny, zakurzony i brakowało mu tylko benzyny.

Mój ojciec dotarł z 2-ą Armią W.P. do Pragi. Praga nie została na szczęście zdruzgotana tak jak Warszawa i życie w dniach po wyzwoleniu, choć biedniej, toczyło się właściwie normalnie. Na Vaclavskim Namesti piękne stare kawiarnie o ogromnych oknach były otwarte i Prażacy rozkoszowali się słonecznymi dniami kwietnia 45-go roku. Zasiadł i tata w takiej kawiarni. Był w mundurze polskiego oficera i prezentował się elegancko. Podszedł kelner. Zaczął od tego, że podziękował ojcu za wyzwolenie i „pojdte se mną, nieco wam ukażę”. Przeszli w głąb lokalu, gdzie wisiały wielkie kryształowe lustra. Jedno z nich było szpetnie przestrelone. „Zdejsme bojowali – powiedział kelner – moje manželka była raniena. Jeszcie je w nemocnicy”.

Tata wypił kawę (cykoria z sacharyną), podumał trochę i poszedł się przejść po mieście. Zaszedł w dzielnicę oka-

Trofeum

załych willi. Domostwa były opustoszałe, ogrody zapuszczone, kute bramy zamknięte... Kolejna brama stała niedomknięta. Tata wszedł. O, to już nie była willa a barokowy pałacyk. Zagięty podjazd prowadził pod portyk, do drzwi wejściowych. Nacisnął klamkę i znalazł się w ozdobnym hallu, skąd dwoma wąsami wiodły schody na piętro.

Pałacyk był pusty. Nigdzie nie było mebli ani żadnych sprzętów. Ściany pokryte były tłoczonymi w kwiatowe motywy boazeriami, wymyślne stiuki na sufitach. Tylko w jednej dużej komnacie z oknami wychodzącymi na ogród na tyłach, stało łóże z baldachimem na czterech kręconych słupkach. „Pewnie sypialnia państwa” – pomyślał ojciec i przysiadł na parapecie zapalić papierosa. I wtedy spostrzegł pod łóżem naczynie nocne.

Nocnik był obszerny, porcelanowy, koloru złamanej bieli. Ozdoby skromne – bordowy rant na obrzeżu i uchu oraz prosty herb ze stylizowaną, pisaną literą f czy t i koroną. Nocnik był czysty i tata go sobie wziął.

Zdobycz wojenna taty do dzisiaj jest w moim domu. Od 45-go roku do dzisiaj minęło tyle lat a nocnik przetrwał wszystkie przeprowadzki, mój wyjazd z Polski i służył zawsze na wodę dla kolejnych piesków. Już nie służy, bo z latami powyszczerbiał się, popękał i woda z niego wycieka. Ale pamiątka po tacie jest.

Pani Zina

Pani Zina jest w ambulatorium MSZ. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wiecie, w Alei Szucha, dzisiaj 1-ej Armii Wojska Polskiego. Dość ponure przedwojenne gmaszysko. W czasie wojny służył Gestapo za kwaterę główną. Przez bramę można było

wjechać na wewnętrzne podwórze (ciemno-szary czworobok). To było poręczne – ludzie wiedzieli co prawda, że kogoś wwożą ale nie widzieli kogo. A przesłuchania i gnębienia, to dopiero od podwórza... Ale, zagadałem się...

Pani Zina musiała brać zastrzyk w ciągu dnia, więc ilekroć zjeżdżała na jakiś czas do „centrali” z Pragi, gdzie była sekretarzem ambasady, ambulatorium było jak znalazł.

„Pani podniesie spódnicę na posładku” Pani Zina, posapując, odsłania tęgie udo pięćdziesięcio-kilkuletniej kobiety.

„Wyżej, pan Zino.”

„Kochana, nie mogę.”

Pielęgniarka energicznie zadziera spódnicę wyżej i wbija igłę.

Pani Zina dostaje zastrzyk kombinowany. Wtłoczywszy pierwszy, pielęgniarka zostawia igłę w posładku i idzie po drugi. I zdarzyło się, że pielęgniarka poszła po drugi zastrzyk a pani Zina, zamyślona, myk – naciąga majtki, otrępuje spódnicę i pędzi do swojego gabinetu... Za nią biegnie pielęgniarka ze strzykawką w powietrzu i krzyczy wzdłuż korytarza: „pani Zino, niech się pani nie rusza, pani ma igłę w dupie!” Urzędnicy z aktami pod pachą przystanęli popatrzeć na niecodzienną scenkę. Zamieszanie wywabiło z gabinetu ministra Skrzyszewskiego, który też był zadowolony z tego co zobaczył...

Pielęgniarka dopędziła panią Zinę dopiero w jej pokoju i wszystko zakończyło się dobrze. Pani Zina dostała drugą część zastrzyku.

Bardzo to była roztrzepana kobieta. Wojenna wdowa. Miała córkę Tecię i mamę, głuchawą starsuszkę, która z choreografii baletu potrafiła trafnie podać tytuł i kompozytora. Głównie klasyki Czajkowskiego.

Kiedy przyjechałem do Pragi studiować studia inżynierskie, zamieszkałem w „jak żoliborskiej” willi na ulicy Na Zatorce u trzech kobiet. Tecią miała 20 lat, pani Zina ponad 50, babcia – nikt, łącznie z nią, nie znał jej wieku. Tecią studiowała, pani Zina pędziła co rano do ambasady, babcia oglądała w TV wszystkie balety.

Pensję w tamtych czasach dostawało się gotówką, w kopercie. Wróciła pani Zina w dniu wypłaty do domu i wpadła w panikę. Nigdzie nie



mogła znaleźć koperty. Cała pensja! Telefon do ambasady nic nie dał, tam pieniędzy nie było. Nic, tylko musieli ją okraść.

Na drugi dzień załatwiła sobie w ambasadzie pożyczkę. Do domu wróciła w podłym nastroju. Klęła jak szewc. Tecia i ja schodziłmy jej z drogi. Babcia w ogóle nie wyściubiła nosa ze swojego pokoju... Dzwonek z dołu. Przyszedł pan piekarz z rogu. „Chciałem jeszcze panią potrzymać. Za karę, ale zlitowałem się. Kto to widział zostawić całą pensję na ladzie?! Na drugi raz nie oddam!”

Ilekróż zjeżdżała do Pragi polska delegacja partyjno-rządowa, ambasada stała na baczność. Po tak zwanych rozmowach zawsze któraś strona wydawała przyjęcia i panią Zinę bolało już od nich wszystko. Żelaznym gwoździem każdej wizyty była „Sprzedana Narzeczonej” Bedrzychy Smetany.

Pani Zina szykowała się do swojej 6-jej Sprzedanej Narzeczonej. Spódniczka ciemnego kostiumu leżała na tapczanie, żeby się nie gniołła, a ona fiokowała się przed toaletką. Dzwonek do drzwi. To pan Bartol, dyrektor protokołu dyplomatycznego MSZ, człowiek, który wie wszystko co i jak się należy i bardzo się tym przejmuje. Było umówione, że o 19.30 zabierze ją do Opery.

Pani Zina porwała jeszcze chusteczkę i torebkę, jeszcze kropelka perfumy tu i tam, jeszcze szminka na usta, jeszcze to, jeszcze owo... Drugi dzwonek z dołu. Założyła w przedpokoju paltocik i zbiegła po schodach. Pojechali.

Troszkę się jednak spóźnili i weszli do swojej łoży, kiedy „główną nawą” weszli przywódcy i wszyscy w teatrze powstali... W tym czasie dyrektor protokołu wyluskiwał panią Zinę z paletka. Wyluskał i upadł zemdlony.

Balustradka w łoży jest niska i kiedy staniesz, widać cię z parteru już od kolan w górę. Pani Zina słała przyjemne uśmiechy znajomym, stojąc w żakiecie, cielistej halce

i z czterema podwiązkami wzdłuż pokaznych ud. Nie wiem czy przywódcy coś zauważyli, ale chyba tak. Resztę przedstawienia przesiedziała pani Zina w paletku.

Dyrektora Bartola szybko ocucono. Odwołując panią Zinę do domu, nie odezwał się ani słowem. Pani Zina gaworzyła z szoferem.

Tecię znałem jeszcze z piaskownicy na Sandomierskiej w Warszawie kiedy sypałem jej piasek do majtek. Teraz, w Pradze chodziła na uniwersytet i prowadziła się Milkiem, co studiował obój na AMU – Akademii Muzycznych Umiejętności. Poznałem też jego kolegów, braci Michalików z Krakowa – obój i flet. Mieszkali w oranżerii w ogrodzie polskiej ambasady. Dobre bibki się tam odbywały... Michalikowie po trochu powariowali a i Milkowi też potrafiło odbić... Podobno to od ciśnienia w głowie przez dęcie w mały ustnik. Tak czy inaczej Tecia z Milkiem się pobrali, a nawet zrodzili syna. Tecia roztrzępiana była jak mama... Byli jeszcze narzeczeństwem. Wpada raz Milek: „Teci, zrób mi herbaty, jajko i lecę na zajęcia”. W kuchni przy stole Tecia podaje szklankę herbaty, w której pływa jajko. „No popatrz Julek i ja się mam z nią żenić!...” Porwał instrument pod pachę i pobiegł.

Potem Emil skończył studia w Pradze, pracę dostał w Katowickiej Orkiestrze Symfonicznej i zakochał się w córce powroźnika spod Warszawy, który był jednym z dwóch powroźników w kraju. Kasy jak lodu. A zawodowo, to Milek razem z Kazimierzem Piwkowskim założył ensemble pod nazwą *Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses*, grający starą muzykę na autentycznych instrumentach. Milek był oczywiście fistulatore.

Uroczą babcia w międzyczasie zmarła.

Tecia wyjechała do Kanady i ściągnęła panią Zinę. Nazwisko zostawiła sobie po mężu Emilianie Werbowskiej. Wychowała syna,

pochowała mamę i wyrosła na śliczną poetkę-pisarkę. Zwróćcie uwagę na jej powieść: „Polski Hotel”, Teresa Werbowska. Książka wydana została w Kanadzie, Francji i w Niemczech.

Nie mogę skończyć bez opowiedzenia jak Pani Zina wywołała międzynarodowy ambaras. Tym razem wiele delegacji partyjno-rządowych spotkało się w Karlovych Varach. To taki dzisiejszy meeting ekspertów Europejskiej Unii, na przykład na Bahamach. Można pokonferować, można pokąpać się w ciepłych źródłach i masażach, można wieczorem podansować. Tego wieczora towarzyska (od towarzysze) „wieczorynka” odbywała się w salach recepcyjnych hotelu Karlove Vary, siedzibie delegacji polskiej. Była zima i panie prominentowe przybyły w szykownych futrach.

W trakcie części anegdotycznej towarzyszy, pani Zinie zrobiło się trochę słabo, więc się dyskretnie wycofała. Wzięła z szatni futerko i pojechała windą na swoje piętro. W pokoju zażyła pastylkę i położyła się na trochę. Po dziesięciu minutach poczuła się lepiej i nieznacznie dołączyła do party. Będąc kobietą sercową, jeszcze dwa razy wymykała się, brała z garderoby futerko, odpoczywała kilka minut w pokoju i wracała.

Przy pożegnaniach powstała konsternacja. Kilku paniom brakowało wdzianka. Nikt obcy nie mógł wejść ani wyjść ze względu na strażę. Szatniarka zaklinała się na wszystkich świętych. Delegacja gospodarzy, sumitując się wielce przed zaprzyjaźnionymi żonami zaprzyjaźnionych delegatów, postanowiła, że dokonają delikatnej i dyplomatycznej inspekcji hotelu. I tak zapukali do śpiącej już pani Ziny, która jak stała, tak padła na tapczan, na trzy obce futerka.

JB

Ze zbioru: „Praskie historyjki”, Wydawnictwo Nocnik 2015

Kochani Ewo i Dominiku,

w imieniu całego zespołu Sceny Polskiej w Holandii oraz Sceny Młodych, z którą jesteście od wielu lat związani, pragniemy Wam pogratulować zawarcia związku małżeńskiego. Życzymy Wam wielu filmowych i muzycznych chwil w życiu, dużo radości i śmiechu oraz spełniania wspólnych marzeń.

Gratulacje!



Ewa Zimmer-Matwiejczyk
i Dominik Matwiejczyk

Niezbędnik dla głodnych poznaniaków

Tajniki pyrlandzkiej kuchni



ANDRZEJ NICZPEROWICZ

Wczasach pokoju i wolności nasz patriotyzm dyktuje przywiązanie do... ślepych ryb z myrdyrdą, czyli tradycyjnej poznańskiej zupy kartoflanej albo do krakowskich obwarzanków, albo ogólnonarodowego barszczu z uszkami i karpia na wigilijnym stole. Oczywiście, nie twierdzą przekornie, że znajomość historii, czy poczucie przynależności narodowej nie są tu równie ważne. Ale często jest tak, że duma rozpiesza nas dzisiaj nie z powodu zasłużonych obywateli, czy głośniejszych postaci historycznych, ale właśnie – dzięki jakiemś flagowemu produktowi ze swojego fyrtila, czy dania z tradycyjnej i regionalnej kuchni.

Pyrlandia i Górny Śląsk Jak wynika z badań przeprowadzonych w roku 2014 przez naukowców Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, najmocniej do regionalnej kuchni przywiązani są mieszkańcy Górnego Śląska i Wielkopolski.

24 proc. ankietowanych Górnoszlązaków wskazuje, że właśnie różnice kulturowe takie jak: język, mentalność i kuchnia stanowią o ich przywiązaniu do regionu i lokalnym patriotyzmie.

Z kolei aż 63,2 proc. Wielkopolan twierdzi, że w ich regionie istnieją cechy, które odróżniają ich region od innych i wymieniają wśród nich takie czynniki jak gwara, czy właśnie lokalna kuchnia.

Tak, nasza regionalna duma doprowadziła do tego, że dziś każdy Polak wie, gdzie leży Pyrlandia, a my sami chyba przestaliśmy się obruszać, gdy ktoś mówi o nas „poznzańskie pyry”. A więc otwieramy bary z lokalnym jedzeniem, gdzie przyrządzane są ziemniaki na tysiąc różnych sposobów, organizujemy Dni Pyrlandii i Święta Pyry. To świetny sposób na zachowanie lokalnych tradycji. Kulinaryny misz-masz Ale nie tylko pyry są chlubą poznańskiej kuchni. Ankietowani w badaniach UAM studenci odpowiadali, że najchętniej zajadają się także gzikiem, zupą korbolową, parzybrodą, czy szabłokiem. Piszą

w komentarzach ankiety, że najbardziej w Poznaniu smakuje sznoka z glancem. Uwielbiają też rogalce marcińskie, których jakości strzeże specjalny certyfikat. Ciekawe jest to, że niektóre produkty i potrawy kojarzone powszechnie z jakimś regionem Polski, występują jako regionalne wyróżniki w innych regionach. Przykładów na kulinarną migrację jest mnóstwo. Kulinaryny miks kulturowy zaczyna się w domowej kuchni. I tak popularność kuchni Lwowa i Wileńszczyzny w Zachodniej Polsce i na Pomorzu, to nic innego jak pokłosie wielkich procesów migracyjnych z lat 40. i 50. ubiegłego wieku. Receptury ze Wschodu przetrwały w kuchniach naszych mam i babć, ale z czasem przeszły też metamorfozę.

Zdecydowanie najtrudniej jest wskazać dania regionalne mieszkańcom ziem zachodnich i północnych, którzy zwykle przytaczają przykłady potraw pochodzących z kuchni kresowej. Tu na szczęście nie zawodzi ogólnopolska kreatywność. Świetnie widać to w kuchni

każdy Polak wie, gdzie jest Pyrlandia. Najpierw nad Wartą mówiono na te podziemne okrągłasy – perki, potem zostały już na wieki wieków – pyrki.

Pyra jest nieomal symbolem Poznania. W Polsce przywykło się mówić żartobliwie na mieszkańców Grodu Przemysławia – „poznzańska pyra”. Poznaniacy tak umiłowali pyry, że nawet powstał wierszyk na ich cześć, znany chyba w całej Polsce: *W antrejce/przedpokój/ na ryczce/mały stołek/, stały pyry w tytce/torebka papierowa/, przyszła niuda/świnia/, spuściła/zjadła/pyry, a w wymborku/wiadrze/myła giyry/nogi/.*

Kto i kiedy odkrył, że pod małymi krzaczkami rosną bulwy, które na surowo są niejadalne, za to po ugotowaniu znakomite, do tej pory nie wiadomo. Do Europy trafiły dopiero między 1560 a 1570 rokiem. Adresatem był król hiszpański, Filip II. W Polsce już w XV wieku słyszano o ziemniakach. Worek tych owoców przysłał Marvsieńce Jan III Sobieski,



lubuskiej, gdzie nowoczesnym, flagowym produktem kulinarnym są pierogi drożdżowe z fasolą (wersja a' la Kresy Wschodnie), z nadzieniem serowym (a' la kuchnia Polesia) albo z soczewicą (kuchnia Podlasia). Gołąbki, które pochodzą z wielu regionów, różnią się tu rodzajem nadzienia. W lubuskich domach jada się gołąbki z ziemniakami i kaszą, czyli po lwowsku – i z mięsem – w wersji poznańskiej.

Pyry, pyry, pyry

Ziemniaki odegrały chyba najważniejszą rolę w żywieniu poznaniaków. Od czasu sprowadzenia tych dziwnych bulw z Peru,

by je rozmnożyła w ogrodach wilanowskich, ale tutaj przyjęto je nieufnie. Popularność zdobyły dopiero za panowania Sasów, trafiając pod strzechy, stając się podstawą żywienia. Dzisiaj w Polsce znamy ponad sto odmian ziemniaków.

Polewki i pejzanki

W stolicy Pyrlandii zjemy dwie bardzo się różniące zupy ziemniaczane. Pierwsza to bieda-zupka, czyli ślepe ryby. Nie ma ona nic wspólnego z rybami. „Ślepe” – bo żadne oko tłuszczu w garnku nie pływa. To postna zupa, w której wśród warzyw królują ziemniaki, przecierane przez cedzak. Podaje się ją

z bułką pszenną zrumienioną na maśle na złoty kolor lub z myrhydą, czyli zasmażką z mąki i wody.

Z kolei, to gęsta zupa ziemniaczana z marchwią, selerem, pietruszką, porem, słodką kapustą oraz fasolką szparagową. Gotuje się ją na żeberkach wieprzowych, lub gnotach tukowych i podaje na stół z pieczywem, traktując rumpuc jako obiad jednodaniowy.

Najbardziej popularną poznańską zupą śniadaniową była i jest naworka, z mleka, z dodatkami mąki. Każdy prawdziwy poznaniak zna jej smak, podobnie jak i sezonowej słodkiej i kwaśnej zupy korbolowej, podawanej na sto i więcej sposobów.

Bardzo lubię klasyczną poznańską białą polewkę, na wywarze z kości, połączonym w ostatniej fazie gotowania z kwaśnym mlekiem lub maślanką. Jeśli przyjeżdża do mnie rodzina z Galicji, to koniecznie muszą brać się do niezwykłej zupy, która zwie się białe-kwaśne. Prawdziwi Pyrlandzcy podkreślają zawsze z naciskiem, że ten rodzaj białego barszczu udaje się tylko na wywarze (bez włoszczyzny) z peklowanych golonek.

A jakie zupy upodobałi sobie znani poznaniacy? Dyrygent Zbigniew Górny przepada za szablonem. To rzeczywiście smaczna wiosenna zupa z fasolki szparagowej (po poznańsku – szabel), zabieleną śmietaną. Ojciec „Poznańskich Słowników” – Stefan Stuligrosz uwielbiał parzybrodę z włoskiej kapusty pokrojonej w długie frędzle (dlatego parzy brodę przy jedzeniu). Niezwykle popularna Babcia z Kiepskich – Krystyna Feldman oddawała wszystkie pieniądze świata za kiszczonkę – okazjonalny wywar z gotowanych po świniobiciu kaszoków, zymelek, leberek i salcefiksów (kaszanek, bułczanek, pasztetowych i salcesonów). Reżyser Filip Bajon – szczun i wybijokno z poznańskich Jeżyc najbardziej kocha Poznań z powodu genialnie tu podawanej czerniny. Jego bliski sąsiad z ulicy Poznańskiej – Roman Wilhelm – przepadał za pejzanką, gotowaną świetnie w nieświeżym z wyglądu barze „Jeżyckim” przy ulicy Dąbrowskiego.

Wróćmy do poznańskiej czerniny. Najlepszą czarną polewkę z kaczaj krwi zaprawianej octem, z drobiowymi podrobami, suszonymi owocami i drobnymi lanymi kluseczkami robiła Basia Kusek w „Piastunie” na ulicy Kraszewskiego, a później w podpoznańskim zajeździe „Pod Kaczorem” (droga na Wrocław). I do dziś ta zupa tu króluje.

Nie tylko szare kluchy

Jedną z podstawowych potraw ziemniaczanych są w Poznaniu kluski wykonywane na wiele sposobów. Mają one odrębne nazwy w różnych dzielnicach. Kulochy, czyli nagusy powstają z utartych surowych ziemniaków bez dodatku mąki. Z tak utartego ciasta robi się kulki i wrzuca na wrzątek. Po ugotowaniu

i odstawieniu z płomienia, dolewa się mleka. Szkaplarki, to podobne kluski, ale z dodatkiem mąki żytniej i jajka. Kluski te po obgotowaniu trzeba odsączyć i podać okraszone słoniną, zawsze z gotowaną kapustą. W prawdziwie poznańskich knajpkach i barach trafić można na skubanki. To kluski z surowych i ugotowanych ziemniaków, tarte w proporcji 1:1. Ciasto zagęszcza się żytnią mąką. Po ugotowaniu, wodę trzeba odcedzić, a z ciasta skubać małe kluski, które trzeba okrasić, potem podgrzać ponownie i dopiero wtedy podać na stół.

Wszędzie w Poznaniu spotkacie szagówki. Nazwa ich pochodzi od sposobu krojenia rozwałkowanego ciasta na szagę, czyli na ukos. Mniej popularne są dziady. Robione są w ciekawy sposób: na ugotowane i utarte ziemniaki wrzuca się mąkę, potem trzeba je przez pół godziny prużyć i wykładać na talerz, jak wszystkie kluski.

Proste w produkcji i bardzo smaczne są szare kluchy, ale koniecznie podawane ze skrzyżkami i zasmażaną kapustą. Klasyczne skrzyż-

mąki. Nie kupujcie schłodzonych, wstrętnych podróbek w marketach. Dalejże, do stolnicy! Do tych ponętnych okrągłasów własnej roboty najbardziej pasuje kaczuca z mądrą kapustą.

I jak to ugotować?

Przez kilka lat, w nieistniejącym już „Expressie Poznańskim” i w Radiu „Plus” codziennie spotkać można było Babcie Monikę. Na gazetowych łamach i falach eteru gotowała tanie i tradycyjne obiady poznańskie.

Muszę teraz po latach, przekazać smutną wiadomość dla licznych Radiosłuchaczy, Czytelniczek i Czytelników: – Babcia ta nigdy istniała!

Stworzyliśmy ją wspólnie z moim kolegą redakcyjnym i przyjacielem przy kuchennym piecu. – To dziadkowie – Waldemar Kurowski oraz Andrzej Niczyperowicz – są autorami radiowych i gazetowych obiadów, zebranych później w trzech grubaśnych książkach kucharskich.

Przepisy czerpaliśmy z doświadczeń własnych oraz życzliwych konsultacji i podpowiedzi uzdolnionych kulinarnie mieszkańców Pyrlandii. Najsampierw

nasze zgromadzone w poczytnej popołudniowej przepisy wydała krakowska (!) Oficyna Wydawnicza „Chronica” jako „365 obiadów poznańskich babci Moniki”. To było pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie w dziejach pyrlandzkiej kuchni. Dotąd potrawy poznańskie nie doczekały się wydania książkowego. Nieliczne akcenty dotyczące kuchni nad Wartą można znaleźć w różnych broszurach i książkach kucharskich traktujących o potrawach wielkopolskich.

Książkową „Babcie Monikę” – pierwszy w historii gastronomii zbiór przepisów kuchni poznańskiej – podzieliliśmy na cztery części, według pór roku. Osobno zgromadziliśmy dodatki do dań obiadowych, typowe poznańskie kompoty oraz sosy i dipy. Tradycyjne potrawy wigilijne i wielkanocne umieściliśmy w wyodrębnionych rozdziałach.

W wydaniu książkowym zachowaliśmy gawędziarski tok w prezentowanych przepisach kulinarnych. Przecież sympatyczna „Babcia Monika” z poznańskich Jeżyc żyje nadal w gastronomicznej wyobraźni.

Tylko dla „cudzoziemców” odwiedzających Poznań – przeznaczony był gastronomiczny słowniczek pyrlandzko-polski zamknięty książką.

Wkrótce potem wielkopolska „Amica” wydała nasze przepisy na cały region pyrlandzki („365 obiadów wielkopolskich”), a z poznańską oficyną „Polskapresse” wydaliśmy wraz z Waldemarem Kurowskim – czterotomowy niezbędnik dla prawdziwych i głodnych poznaniaków, zatytułowany – „Obiad na każdy dzień”.

ANDRZEJ NICZYPEROWICZ



ki – to drobno pokrojony boczus wędzony z równie drobno posiekaną cebulką i krótko edukowany na mocno rozgrzanej patelce.

Postnie i od święta

Najpopularniejsza poznańska potrawa postna to gzik z pyrami, czyli twaróg ze śmietaną na słoniu lub ze szczypiorkiem. Gorące pyрки wystawiamy w misie na stół, obok w drugiej misce – gzik i masło. Każdy obiera swoją pyrkę, na odkrojonym kawałku nakłada listek masła i porcję gziku.

Na ostatnim festynie Towarzystwa Przyjaciół Gwary i Tradycji Wielkopolskich ogromne tłumy otaczały stoisko prezesa Stowarzyszenia Polskich Kucharzy i Cukierników, Leszka Grykę, który częstował polewką wielkopolską z pyrami w łupinach oraz Włodzimierza Palacza, emeryta z poznańskiego Łazarza, który przygotował ogromny gar kwaśnych pyr. Prosta to potrawa, niestety z octem spirytusowym, ale daje smake...

W całym kraju podziw budzą pyzy poznańskie, pulchne i puszyste od drożdży oraz dobrej

„Łączy nas Polska i młodość”

ORLE GNIAZDO 2015

To hasło przewodnie jubileuszowego, X Światowego Zlotu Młodzieży Polonijnej „ORLE GNIAZDO 2015”, który odbył się w dniach od 26 lipca do 4 sierpnia 2015 r. w Wągrowcu k. Poznania.

Zaproszenie na zlot skierowane było do młodzieży polonijnej (18-30 lat) działającej lub pragnącej działać w środowisku polonijnym kraju zamieszkania.

W programie tegorocznego zlotu były między innymi warsztaty tematyczne, prezentacje grup warsztatowych i krajów zamieszkania, polonijne dyskusje, wycieczki krajoznawcze, koncerty, spektakl teatralny, wystawa ilustrująca historię zlotów, sport i rekreacja oraz konkursy i ogniska.

Pierwszy zlot „Orle Gniazdo” odbył się w 1997 r. z inicjatywy śp. prof. Andrzeja Stelmachowskiego – pierwszego prezesa Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i stanowił dla młodzieży polonijnej swego rodzaju pielgrzymkę do źródeł polskiej państwo-

wości i kultury. Od tamtej pory zlot „Orle Gniazdo” odbywa się cyklicznie, co dwa lata na terenie Wielkopolski (Błażejewko, Boszkowo, Kiekrz). W dotychczasowych dziejach zlotach udział wzięło łącznie przeszło 2000 młodych rodaków z 34 krajów świata z 4 kontynentów. Jego organizatorem od początku jest Wielkopolski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Poznaniu.

Celem spotkań młodzieży polonijnej jest poznanie kraju pochodzenia swoich przodków, kontakt z polską kulturą, pogłębienie wiedzy o Polsce, propagowanie postaw patriotycznych, przygotowanie młodzieży do różnorodnych form działania na rzecz ruchu polonijnego, wymiana doświadczeń w zakresie działalności na rzecz Polonii pomiędzy młodzieżą z różnych krajów, nawiązywanie kontaktów, integracja młodych rodaków, przełamywanie stereotypów i uprzedzeń i oczywiście aktywny wypoczynek.

Każdy z minionych zlotów zapisał się na swój sposób w pamięci jego uczestników. Oto wrażenia jednego z nich.

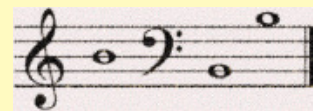
„ (...) Dla nas Polaków urodzonych i żyjących za granicą jest Zlot jedną z niewielu okazji do spotkania się z ludźmi podobnymi do siebie. „Zlotowicze” to nie tylko grupa młodych ludzi z różnych krajów, których łączą wspólne polskie korzenie; to swoista rodzina, która się może w całości spotkać tylko raz na dwa lata. Wielu z nas postanowiło, poprzez wszystkie trudności, przeprowadzić się do Polski lub o tym poważnie rozmyśla. Dla innych Zlot jest impulsem, by zacząć udzielać się na rzecz lokalnego społeczeństwa polonijnego. Uważam, że to przynosi Polsce wiele korzyści i poprawia jej wizerunek w kontekście międzynarodowym. (...)”. Tomasz z Czech, IX Zlot w 2013 r.

ŹRÓDŁO

WWW.WSPOLNOTA-POLSKA.ORG.PL



Zapraszamy na naszą stronę www.poolspodium.org



Fundacja Wandy R. Sieradzkiej de Ruig

Golda Tencer, dyrektor Teatru Żydowskiego w Warszawie
wraz z **Zygmunt Sieradzkim, dyrektorem fundacji Wandy R. Sieradzkiej de Ruig,**

SERDECZNIE ZAPRASZAJĄ
NA KONCERT POŚWIĘCONY ŻYCIU I TWÓRCZOŚCI
WANDY R. SIERADZKIEJ DE RUIG.

27 września 2015 r. (niedziela) o godz. 14⁰⁰ – 16⁰⁰
Teatr Żydowski w Warszawie
Plac Grzybowski 12/16

Wydanie specjalne z cyklu „Bagaże kultury”:

- Wywiady prowadzone przez **Remigiusza Grzełę**
- Część poetycko-liryczna, w której wystąpią **Sława Przybylska, Jerzy Połomski, Danuta Stankiewicz, Sławomira Łozińska**

Informacje: zygmuntsieradzki@gmail.com



Józef Komarewicz 1955 – 2015

28 sierpnia zmarł Józef Komarewicz, dziennikarz, poeta. Niezmiernie żal – orkiestra, wieloletni współorganizator Forum Mediów Polonijnych. Miał 60 lat.

Urodził się w Tarnowie. Był absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Podyplomowego Studium Dziennikarskiego przy Instytucie Filologii Polskiej UJ. Jako poeta debiutował na łamach „Magazynu Studenckiego” (Kraków). Prezes Rady Oddziału Tarnowskiego Stowarzyszenia Autorów Polskich. Należał do Stowarzyszenia „Media Polanie” z siedzibą w Tarnowie. Redaktor społecznościowego serwisu informacyjnego wiadomosci24.pl.

Swoje utwory publikował m.in. w pismach polonijnych: Dzień po dniu, Magazynie Polskim – czasopiśmie ukazującym się w Grodnie, Nowym Dzienniku (Polish Daily News, NY, USA), „Monitorze” – Polskim Tygodniku Informacyjno – Ogłoszeniowym (IL, USA), Odwecie – piśmie Stowarzyszenia Kombatantów „Jędrusiów” Żołnierzy Armii Krajowej, Ich Rodzin i Sympatyków w Połańcu, Wiciach Polonijnych – piśmie Światowego Forum Mediów Polonijnych, ZNAJ – kwartalniku artystyczno – naukowym,

ogólnopolskim piśmie Stowarzyszenia Autorów Polskich, Głosie Polskim (La voz de Polonia, Buenos Aires, Argentyna), „Zwojach” (The Scrolls), kwartalniku „Scena Polska” (Pools Podium) (Utrecht, Holandia), miesięczniku Polonii Austriackiej „Polonika” (Wiedeń), „Dzienniku Kijowskim”, portalu IRLANDIA.IE. Wiersze Józefa Komarewicza prezentowane były również w Polskim Radiu.

Założyciel grupy poetyckiej „Observatorium” (1985). Autor tomików wierszy: „Niezczytelny podpis” (1986), „Moja ustawa” (1986), „Garbata Afrodyta” (1989), „Wrośnięci w skorupę” (1990), „Wiersze” (2004), „Przechodząc” (2009). W 1990 r. wiersze J. Komarewicza zamieszczono w książce „Debiuty poetyckie’85. Antologia” (wybór, wprowadzenie i red. Jerzy Koperski, Andrzej K. Waśkiewicz).

Pięknie o Józefie Komarewiczu, „tarnowskim bracie”, napisała po jego śmierci poetka Anna Szymańczuk – „Od kilku godzin mówię ludziom, że odszedłeś, że Cię nie ma. I wyobraź sobie, że oni w to nie wierzą. To dobrze. To znak, że Ty TAM żyjesz.”

RYSZARD ZAPRZAŁKA

WWW.TARNOWSKIKURIERKULTURALNY.PL



„... tyle nas było
w wiśniowym sadzie
a dzisiaj
nie ma znaczenia
co piszą poeci
nie ma znaczenia
nawet znaczenie...”

/Józef Komarewicz/



ZAPROSZENIE

W imieniu Stowarzyszenia Rewitalizacji Wsi Linie „Cztery Jeziora” serdecznie zapraszam

Szanownych Czytelników „Sceny Polskiej”

na czwartą edycję „Dnia Korbola”,

która odbędzie się w naszej wsi w dniu 19 września br.

W PROGRAMIE:

- parada bryczek
 - konkurs na najpyszniejsze danie z dyni
 - konkurs na największego korbola
 - pieczenie świni w dole
 - międzywsiowy mecz piłki nożnej
- Wydarzeniem będą poprawiny Benefisu „Kapeli zza Winkla”

Serdecznie zapraszam Marek Grądzki – Prezes Zarządu

Początek: godzina 15.30 Wiejskie Centrum Rekreacji i Wypoczynku
Wieś Linie, gmina Lwówek, woj. wielkopolskie

Fundacja Serce Polski zaprasza 27 września do Bredy na spektakl teatralny pt. „Kolacja na cztery ręce”. Występują: Marek Sawicki, Adam Zych, Jacek Piotrowski. Breda, Chasse Theater: 27 września godz. 16.00 i 20.30. Bilety do nabycia na stronie internetowej Chasse Theater w Bredzie – www.chasse.nl



O PRZEDSTAWIENIU:

Salonik w Hotelu Turyńskim w Lipsku w 1747 to scenografia fikcyjnego spotkania dwóch wielkich kompozytorów: Jana Sebastiana Bacha i Georga Fryderyka Händela. Różni ich wszystko: ich muzyka, filozofia, a nawet smak i maniery stołowe. Mężczyźni jedzą wykwinną kolację. Luksusowy salonik przypomina przemijającą sławę i wielkie pieniądze. Sceny pokazują genialny pojedynek pomiędzy dwoma tytanami ówczesnego świata sztuki i rozrywki.

Paul Barz, znany muzykolog, autor sztuki „mögliche Begegnung” zongluje faktami historycznymi umiejętnie i swobodnie. Jego bohaterowie pokazują takie prymitywne uczucia jak próżność i chciwość ale także pragnienie, aby tworzyć dzieła nieśmiertelne.

Twórcy tej sztuki są przekonani, że dzisiejszy świat sztuki i show-biznesu wciąż dyktowany jest tą samą walką pomiędzy nicością i doskonałością artystów.

Tekst: Paul Barz. Reżyseria: Marek Czochoński. Aktorzy: Jacek Piotrowski, Marek Sawicki i Adam Zych.

FUNDACJA „SERCE POLSKI” – BREDA

Kolacja na cztery ręce

Paul Barz
przekład: J. St. Buras
reżyseria: M. Czochoński



J. F. Händel - Marek Sawicki J. S. Bach - Adam Zych J. K. Schmidt - Jacek Piotrowski/Tomasz Honig



prof. Jędrzej Stępek

Jędrzej Stępek jest twórcą wszechstronnym. Zajmuje się plakatem, scenografią, performancem, tkaniną unikatową, rzeźbą i rzeźbą rosnącą. Jest animatorem działań teatralnych z wykorzystaniem własnych prac i obiektów w różnych mediach.

Oprócz tworzenia własnej sztuki artysta jest bardzo mocno zaangażowany w rozwój przyszłego pokolenia. Prowadził zajęcia i liczne warsztaty z architektury krajobrazu, rzeźby i form przestrzennych oraz prefomenców. Obecnie wykłada na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza oraz prowadzi 2 pracownie w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu.

Jędrzej Stępek to artysta formy. Kształtuje wiklinę, krajobraz i młodych ludzi od ponad 30 lat.



Dom Sztuki: Edukacji Cicha Góra

Nasza siedziba mieści się w mającym ponad 100-letnią historię budynku, w którym niegdyś mieściła się szkoła wiejska.

Nie jest to przypadkowy wybór biorąc pod uwagę edukacyjny charakter fundacji.

Jest ona położona blisko natury i z dala od dużych ośrodków miejskich, zapewniając idealne warunki do pracy twórczej i rozwojowej.

Fundacja Willow Art
Cicha Góra 79
64-306 Nowy Tomysł

+48 604 409 740

willowartfundacja@gmail.com

Willow ART

F U N D A C J A

działania twórcze